Nro 11.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 11 marca 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincyi chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyższych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytośc prenumeraty pod adresem redakcyi Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcya ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosyi prenumerata składa się na pocztach.

MODY.

Rycina przedstawia: Suknią atłasową w niebieskie i białe pasy, spodnica krótka, obszyta z każdej strony koronką angielską, druga biała atłasowa, stanik gładki, na ramiona zachodzący, ubrany koronką na kształt wyłogów, rękawy półdługie, obszyte do koła koronką, pod spodem muszlinowe marszczone rękawki; czepeczek mały koronkowy, ubrany z każdej strony różami i wstążką różową atłasową, spadającą od połowy czepka w długich końcach. Suknia druga ubrana we dwa rzędy kwiatami, stanik kończasty z bertą, tak samo ubrany.

Figura męska przedstawia: Ubior lokaja. Surdut bez galonów i guzików herbowych, całkiem spięty.

Rysunek krojow dołączony do nru 11. zawiera następujące przedmioty: Fig. 1. 2. 3. i 4. rysunek płaszcza liberyjnego. Fig. 5. przedstawia w jakim rozmiarze peleryny mają być ułożone. Fig. 6. i 7. rękawy do płaszcza. Fig. 8. 9. i 10. wykrojenie trzech wierzchnych peleryn ze złożonego sukna. Fig. 11. 12. 13. i 14. przedstawia jak mają być przodki, plecy i dwie największe peleryny wykrojone z rozłożonego sukna.

Fig. 16. i 17. krój płaszcza orjentalnego damskiego, spojenie przodków z plecami jest gwiazdeczkami oznaczone; linia obłączysta przy przodkach, oznaczona liczbami 53. 30. 26. i 21. oznacza otwór na rękę. Ten płaszcz robi się z aksamitu, z sukna, z *gros d'Afrique* i garniruje się wkoło szyi z przodu na dole i przy otworze na rękę suto taśmą jedwabną; zapina się na piersiach guzikami jedwabnemi od liczby 7. aż do 36. Fig. 18. jest połowa kapiszonu; gwiazdeczki przy linii obłączystej oznaczają złączenie kapiszonu z denkiem; w środku tego kapiszona na linii, która liczbą 36. jest oznaczona aż na drugą stronę robią się zaszewki, w które się rogi wsuwają. Ten kapiszon robi się z atłasu czarnego, na wacie podszyty bywa równie atłasem różowym i przeszywa się w duże kwadraty ukośne; z przodu są dwa fałdy, które się w denku i końcach schodzą. Fig. 19. jest połowa przedniej części kapiszonu, któren jest bez szwu. Fig. 20. jest połowa denka.

Gdy się ten kapiszon po czypku na głowę zakłada wywija się w szerokości na 5. centymetrów u zera podszewką na wierzch.

Powieściarstwo polskie,

przez Leszka Dunina - Borkowskiego.

III.

(Dokończenie.)

W takim stanie rzeczy nie dziw że zostały zaniedbane i nieużyte materiały, jakie nagromadził Rej na zbudowanie powieści, a zaraz po nim, bo w pierwszych leciech XVII. wieku, Piotr Zbylitowski. Rozmowa szlachcica polskiego z cudzoziemcem i Schadzka ziemiańska zawierają wiele rysów obyczajowych i wizerunki wiernie ze społeczeństwa zdjęte. Odtąd im bardziej zapuścimy się w wiek XVII., tem bardziej wraz z literaturą nikczemnieje i powieść. Już 1608 wyszło: Straszliwe widzenie Piotra Pągowskiego. Trudno osądzić czy gorączkowa wyobraźnia istotnie miała przywidzenia pijane, czy udawano ją dla zbałamucenia łatwowierności. Zawsze jednak pisma tego rodzaju świadczą o chorobie ducha lub o zepsuciu serca. Wśród upadku oświaty i powszechnego skażenia gustu, z chlubą przyznać wypada, że nadużycia żywiołu apokaliptycznego objawiały się w literaturze naszej po większej części w tłumaczeniach. Znać więcej było ślepej łatwowierności, jak odurzenia

wyobraźni lub chęci odurzania jej z umysłu. Roku 1642 wyszła tłumaczona z węgierskiego przez Krzysztofa Mrzygłodowicza: Relacya, albo powieść cudowna o niektórym duchu w królestwie węgierskiem, który się od dnia 24 lipca roku 1641 do dnia 29 czerwca 1642 z czysca pannie jednej widomie ukazywał. A we trzy lata później: Zwierciadło duchowej łaski, to jest objawienia Mechtyldzie, z łacińskiego przez księdza Jana Gawałka. Zyskało to dzieło przyzwolenie czyli cenzurę Skrobiszowskiego off. lwowskiego. Niepodobna wystawić sobie ani wymarzyć przy najswawolniejszej usilności więcej bzdurstw, dziwolągów i bluźnierstw. Rozdział o krzu i rozdrze, sprawiedliwości i dziewięciu chórach anielskich, rozdział o kuchni pańskiej, część V. zawierająca objawienia o duszach, rozdział 42 o procesyi i mszy ś., którą pan odprawował: sąto same wyszukane wzory najrozpaleńszych ascetycznych frenezyj. Nam zdaje się to wszystko wyszydzeniem wyznania, przewróceniem zdrowego rozsądku, obelgą świętych tajemnic.

Wspomniane są dwie pisarki, które najpodobniej spisywały sny swoje w gorączkowem obłąkaniu. Być może, że w wiekach tak grubej ciemnoty ogarniała dusze przez dręczenie wyobraźni jakowaś straszna chorowitość, sprawiająca istotnie takowe widzenia. Przecież stan tak opłakany, ludzkość poniżający, był bardzo wyjątkowym, a pewna że zdarzyły się częstsze nadużycia. W 1698 zjawiają się księgi objawienia niebieskiego, przełożone z łacińskiego. Umiarkowańsza wybrydność obok usilności uprawdopodobniania dziwolągów zdają się poświadczać o gorszej wierze autora. Rzućmy zasłonę na dalsze w tym rodzaju każenie gustu i wybluźnianie rozumu, dość będzie dla osobliwości przypomnieć, że źródło tych banaluk jeszcze nie wyschło, a przed dziesięcią laty udzielono nam Wiadomości historycznej o początku i skutkach nowego medalu, powszechnie znanego pod imieniem cudownego medalu. Ciekawą jest rzeczą, iż obok tych zjawisk przechował nam wiek XVII. jedyny w literaturze naszej wzór świeckiej wyobraźni, wyprawującej równie cudackie koziołki. Jestto Peregrinacya Maćkowa z Chodawki Kurpetowego syna a Nawłokowego brata, którą opisał Koper na kobylim pargaminie. Może chciał autor wyszydzić tego rodzaju dziwactwa z ostrożnością jakiej ów wiek wymagał, i to czyni dążność jego dla nas niedojrzaną. Pewna że nie wiedział co zrobił; napisał powieść hofmanowską. Tylko że powieści Hofmana są między powieściami czem błazen w trajediach Szekspira. W dziwacznym ubiorze, w plątaninie niby bezładnej słów śmiesznych i alegorij, w łupinie na oko niedorzecznej przebija głębokie wejrzenie w naturę ludzką, wysoka mądrość. W Peregrinacyi zaś nie widać innej usilności nad samo popisywanie się wyobraźni z kuglowaniem i łomanemi sztukami. Jestto czysta igraszka i jako taka bawiła zapewne chwilowo, ale nie rozwinęła się i nie udoskonalała w dalszych utworach. Dopiero w wieku naszym powiodło się Eleonorze Sztyrmer przedstawiać ascetyczne duszy słabości, użyć widzeń i objawień z namysłem i artystyczną zręcznością. Dla tegoto powieści jej: Frenofagiusz i Frenolesty, Pamiętniki pantofla, Czarne oczy, Pamiętniki dziwnie wychowanej kobiety, mają dla nas urok niewypowiedziany. Szkoda tylko, że nie przebija dość wyraźnie, czy autorka chce nas obeznać z istotą chorób wyobraźni, czy chce nas do nich nawrócić. Z tego względu zarzucono jej zabobonność i pobożnisiostwo. Lecz i to jest zaletą artysty, jeżeli umiał dla przedmiotu swojego zaprzeć się siebie. Nie on winien, że źle go rozumieją i wykładają. Dziwnie jest ujmującą w niepojętości swojej fantastyczność chrześciańska ukazana zdaleka jak migocące światło pod przeźroczystą zasłoną. Lecz targnąć się na nią zbliska, chcieć jej zanadto dochodzić, jestto niszczyć jej powab, obrywać kwiat z róży, po czem głóg tylko zostaje. Tego świętokradztwa dopuścił się Stanisław Chołoniewski. Chciał on poezyę chrześcianizmu uczynić podstawą wiary, zasadą rzeczywistości chrześciańskiej. W powieści jego: Dwa wieczory u starościny Olbromskiej, zprofanowane zostało objawienie przez zbytnią chęć przypatrzenia mu się zbliska i okazania go nago. Pracując w dobrej wierze, z większą jednak gorliwością w dochodzeniu jak czerstwością w pojmowaniu, musiał przez ścisłość wnioskowań dojść do tej ostatecznej wynikłości: że rozum wymyślili bezbożnicy. Ucieszenie jest widzieć jak z całą powagą argumentów i chwalebną zaiste żarliwością walczy rozumem swoim przeciw rozumowi. Chciałby za góry zagnać filozofią, skazać filozofów na wiekuiste płomienie, aby nas wrócić na łono abrahamowe do błogosławionych snów, widzeń i przywidzeń. W czem daje sam z siebie pierwszy, nie wiem tylko czy bardzo zachęcający przykład, bo miał już sen święty, Sen w Podhorcach. (Powieść pod tym tytułem). Powieści pani Sztyrmer i Chołoniewskiego są fantastycznemi powieściami. Pierwsze świadomie, drugie nieświadomie. Bo Sztyrmer umie używać tego żywiołu, wie co z nim robić, a Chołoniewski nie wie. Sztyrmer oświetla nim swoje obrazy jako psychologicznym pojawem, Chołoniewski zaś stawia go jako religijną prawdę z taką żarliwością, że wszystkie światła pogasił. Fantastyczność każda jak widzieliśmy, ma swój początek w dzieciństwie duszy, w braku doświadczeń i wiedzy. Przeto jej włókna są dziwnie kwieciste i bujne, niczem jeszcze nieskrępowane, błyszczące świeżością i zdrowiem. Można ją naśladować dla jej powabów; ale chcieć ją robić oparciem dojrzalszego wieku, chcieć na serio zastępować nią fi-

lozofią, nie jestto zaiste przysługiwać się prawdzie. Zaślepienie chociażby z najbogobojniejszych przyczyn jest zaślepieniem. Czemże byłoby wyznanie wymagające, aby żyć w urojeniach i błędach? Powieści z pisma ś. np. Reja o „Potopie," nieznajomego o „Heliaszu proroku," i poźniejszy przekład historii „Judyty paniej a wdowej cnotliwej," wstrzymane w dalszym rozroście przez co raz twardszą martwotę duchową, nie rozwinęły się w powieść religijną, do której dążyły. Tak marniały nadzieje pismiennictwa zwarzone w samym zarodzie. Co miało wzrastać, karlało i nikło. Przykładem takiego zkoślawienia jest Saba z Salomonem rozmawiająca, wydana przez Bukojewskiego w Berdyczowie 1766. Wreszcie i takich przykładów zabrakło, zostaje próżnia. W naszym wieku dopiero zjawia się powieść Żegoty Kostrowca (Hołowińskiego) pod napisem Rachel. Doliczam ją tu dla jej dążności, chociaż osnowa jej nie jest z pisma ś. Wspomniałem już, że powieści są wysłannikami nauk do ogółu czytających. Otoż Rachel jest wysłanniczką nauki religijnej; nie aby objaśniać dogmata tub wykładać bogosłowie, lecz aby przedstawić ponętność życia religijnego, aby wyokazać w nim zaród wszystkich cnot, kiedy przeciwnie niereligijność jest źródłem wszystkich wad, występków i zbrodni. Powieść ta zarywa nieco na kazanie. Najudatniej powiodło siә autorowi z żywiołem psychologicznym, żywioł zaś religijno-socyalny, górujący w powieści i nadający jej wyraźne znamię, jest w obrobieniu chybiony. Pojęcie religijności jest samo przez się nazbyt rozciągłe, autor wprawdzie ścieśnił go w pojedynczych przykładach, ale rozumowo nie określił, a przecież przyzna, że przykłady nie wyczerpują jeszcze idey, że można być religijnym nie będąc księdzem Tomaszem. Nietylko howiem Katolicy mają religią. Mają ją i Lutrzy, i Kalwini, i Żydzi i Turcy itd. Mieli ją i poganie. Wszędzie życie religijne miało do przedstawienia piękne strony i wzniosłe cnoty. Wszędzie znachodzili się ludzie bogobojni, poczciwi i prawi. Przed Chrystusem jeszcze i przed chrześciańskiemi męczennikami umierał Sokrates dla swojej nauki, dla swoich przekonań. Poskromienie ciała, żywot pokutniczy, trudne ćwiczenia, odosobnienie zakonne, rozmyślanie o Bogu i próżnościach ziemskich: wszystkoto miało na wschodzie, a szczególniej w Indiach, nietylko swój początek ale nawet całkowite rozwinięcie, było zalecone prawami duchownemi i wykonane przykładnie. I na odwrót wszędzie w imieniu religijności dopuszczano się nadużyć, okrucieństw i występków. Koła wozu Czaganatha druzgotały milionami pobożnych zagorzalców. Byłyto dobrowolne ofiary. Ale głód śledztw świętych pożerał miliony ofiar niedobrowolnych. Okazało się, że instytucye miane kiedyś za religijne, nie były religijnemi, że wymagania ich były napaśne. Religia każda ma swoje podania i swoje świadectwa, swoje cnoty i swoje nadużycia. Jest więc oczywiście jakiś wyższy pierwiastek moralności i cnoty nad szczególne wyznania i obrządki. W samymże chrześciaństwie czyż żywot najreligijniejszych teraz jest takim jak żywot pierwszych chrześcian? Mimo tożsamości religii zmieniał się żywot religijny według każdoczasowych zmian i potrzeb. Ktoż to rozstrzygał i postanawiał? Czyliż nie pojęcia? A pojęcia nie sąż własnościami ducha ludzkiego rozumu? Ich ustawiczna zmiana nie zawisłaż od ciągle wzmagających się sił duchowych, od ciągle przybywających doświadczeń i zastanowień? To nazywamy postępem. Jest on nieodzowny, konieczny. Można go przez silny upor i niewiadomość opóźnić, ale go wzbronić nie można. Niepostępowość jest ciężkim grzechem przeciw ludzkości, który cięży na Hołowińskiego Racheli. Nie jestto obraz zbudowany na czystej miłości bliźniego, religijność tam stronnicza. Mimo wszystkich pozorów i upiększeń przy głębszym zbadaniu daje się dostrzedz, że ostateczną myślą jego jest zawzięta wyłączność, surowa nietolerancya, duch prześladowania a nareszcie samolubne i zaufane w sobie odsądzanie od prawości, cnoty, zasługi i zbawienia. Wszystko na mocy tradycyi. Nie przystoi to w wieku dzisiejszym światłemu chrześciańskiemu kapłanowi. Być może, iż miejscowe przyczyny, których po części domyślamy się, wywołały tak zręcznie osłonioną opozycyą. Lecz przynajmniej światlejsi w narodzie wiedziećby powinni, że łatwiej czy trudniej prawda wykłoje się na wierzch z jakichbądźkolwiek form, a ostatecznie prawda ma bydź sternikiem narodów nie forma. Niemasz tak nieszczęśliwego położenia, aby przysługiwać się można ludzkości obałamuceniem pozorowością, uporem przeciw postępowi. Dościganie narodów jest zadaniem opatrzności: żaden go ukaz nie wstrzyma. A łupin można wyrzec się dla ziarna.

SAMOTNOŚĆ.

Czasem na puszczy, daleko od świata,
Rozkwitnie cudem palma ciemnowłosa;
Tam nad nią płoną miedziane niebiosa,
Tam puszcza skwarna zaległa jak morze —
A palma marzy i tęskni do świata,
Jak płaczka w żalu długi włos rozplata,
I śle modlitwę! — A wschodzące zorze,
A jasne gwiazdy, co toną w błękicie,
Pytają: zkąd jej to samotne życie?

I czasem człowiek samotny choć w tłumie,
Stoi wśród świata jak palma na puszczy.
I patrzy w niebo, bo w tej całej tłuszczy,
Co takim rojem dokoła się snuje,

*

Nikt jego cichej pieśni nie rozumie!
I choć serc tyle bije w takim tłumie,
To głosu serca nikt tam nie pojmuje!
Więc tęskniąc blednie, jak księżyc o świcie,
I pyta: zkąd mu to samotne życie?

Sokołówka 1847. *Michał Mrozowicki.*

SZPICRUT HONOROWY.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(*Ciąg dalszy.*)

Do zaokrąglenia i lepszego zrozumienia tej sceny musimy jeszcze przenieść się do jednego ze środkowych salonów, w którym pryebrawszy się nieco pan hrabia Alfred i hrabianka Izabela zasiedli codziennym zwyczajem do śniadania. Do dwoch filiżanek herbaty cieniutkiej, kilku kawałków bułki skąpo masłem posmarowanej i talerzyka pokrytego przeźroczystemi okrawkami szynki, stanęło za stolikami państwa czterech lokai ngalonowanych, którzy oczywiście nie mają co tam robić, stoją jeno dla pańskiej prozopopei i patrzą pożądliwemi oczami na to śniadanię, które jakkolwiek skąpe, wzbudza w nich głód zawzięty, nigdy należycie niezaspokojony. W pałacu albowiem krzewinieckim oszczędności systemat doprowadzony był do najwyższego stopnia. Oboje rodzeństwo kłócące się we wszystkiem, zgadzali się na punkcie ekonomii politycznej, którą tłumaczyli sobie najbrudniejszem sknerstwem. Lokaje nieszczęśliwi dostawali stancyę, protekcyę i galonów trochę, codzień chowanych de kufra; wikt zaś był na opatrzności boskiej, bo i główna onego podstawa, to jest wylizywanie półmisków nadzwyczaj skąpych, nie mogła całej zgrai lokajów dawać dostatecznego pożywienia.

W czasie śniadania panowało zupełne prawie milczenie, bo oczywiście rodzeństwo nie rozmawiało przy służbie. Przy wejściu tylko przywitali się nadzwyczaj grzecznym ukłonem, i powiedziawszy sobie parę uprzejmych wyrazów przywitania, usiedli w zwykłe miejsca swoje. Nastąpiły potem codzienne pytania, mechanicznie powiedziane, o przebytym śnie, o pogodzie, przeplatane nieustannem łajaniem i terkotaniem na biednych galonowców. Dopiero gdy po śniadaniu podano im letnią wodę do przepłukania zębów, zwyczaj nawiasem powiedziawszy może modny, wszędzie używany, ale obrzydliwy niepospolicie dla obecnych; gdy poprawiwszy lampę na stole wyszli lokaje, rozpoczęła się zwyczajna codzienna rozmowa przycinkowa, ale zawsze zachowująca się w granicach przyzwoitości.

Początek codziennej rozmowy były oczywiście nowości stołeczne, o których wiedzieli zawsze przez listy codzień odbierane i czytane zwykle w łóżku.

— „Księżniczki Kamilli ślub odbył się bardzo hucznie“ odezwała się pierwsza panna hrabianka. „Pan Ernest jest zakochany w żonie: *C'est une tres jolie personne et bien riche.*“

Byłato pigułka dla braciszka bardzo gorżka, bo pan Alfred mimo hrabiowskiej korony dostał od księżniczki Kamilli olbrzymiego kosza.

— „Pan Ernest jest także przystojny i bogaty, *c'est le privilege du personnes jeunes et jolies*, jak księżniczka, że nie zostają staremi pannami i idą dobrze za mąż.“

Pan Alfred rad z odwetu, aż krząknął; hrabianka skrzywiła się jak po lekarstwie, ale nie tracąc zupełnie fantazyi, dała szczutka okruszynie leżącej na stoliku i mówiła dalej:

— „*Vous avez grandement raison.* Pan Ernest jest człowiek skończony, pełen szlachetności, *plein d'honneur*, na którym ani cieniu plamy niema. Przypominasz sobie zapewne *mon cher*, ten jego pojedynek z panem Alfonsem, który mimo rodowitego tchórzostwa swojego musiał się z nim bić, bo pan Ernest nie dałby sobie odmówić.“

Aż się poprawiła hrabianka na krześle, taką uczuła radość, widząc przymuszony i wykrzywiony uśmiech na twarzy brata.

— „Moje wiadomości nie takie wesołe“ wyrzekł po chwili pan Alfred, przybierając twarz w poważny wyraz; wierzyciele nasi biedzą się i ten głupi Mojakowski, chociaż z nas wyrósł, nam winien dziękować fortunę, którą zgromadził adwokackim sprytem, pisze do mnie, że nie widzi środków ratowania nas.“

— „Nas ratować!.... Taki lejbusiewicz!“

— „Tak się wyraża, bo jakiś tam drugi adwokat nabywa gotówką wszystkie nasze weksle, skrypta dawne i nowsze, i nie tai nawet, że to robi w cudzem imieniu i w chęci zlicytowania naszych wiosek na rzecz tego jakiegoś anonyma.“

— „I cożto za anonym?“

— „Może jaki z pani adoratorów, chcący w jej ręce oddać całą fortunę *pour faire une surprise.*“

— „To może raczej który z pana towarzyszy końskich, jaki kolega szpicrutowy.“

— „*Vous etes tres spirituelle ma soeur!* jednem słowem, to jakiś człowiek, któremu się podobały Krzewińce z przyległościami, który nas z nich chce *tout bonnement* wypędzić.“

— „Coż hrabia Alfred zrobi?....“

— „*Je suivrai votre exemple comtesse Isabelle?*“

— „Bogata herytiera a....“

— „Bogaty raczej kawaler, *tout jeune et fort et beau.*“

— „Gdyby nie kosz księżniczki Kamilli i wszystkie inne kosze, których rachunek straciłam.“

— „*Une occasion perdue ne se retrouve jamais*; trzeba było się trzymać *ma cher amie* tego poczciwego rusina, tego czy ekonomczuka czy popowicza... jakżeto on się nazywał....“

— „*Vous avez oublie son nom*... a przecież pan Bilczyński napisał ci *mon cher* ostatnim razem bardzo wyraźny i dobitny swój adres.“

— „Byłabyś *chere comtesse* bardzo z nim szczęśliwa.... byłabyś teraz w Paryżu, gdzie jak mi piszą bawi teraz ten pan Bilczyński i sankulotuje po ulicach. *Mais vous ne l'avez pas voulu charmante ami!* Wszak prawda?“

— „*J'ai pu bien perdre mon bonheur, si vous mon cher frére, vous avez voulu perdre votre bonheur.*“

Aż zamilkli oboje, tak się zasapali na tej drodze przycinkowej, ale zmierzyli się spojrzeniami, w których był cały jad zebrany w tych dwoch sercach obumarłych na wszelkie uczucia słodsze.

— „Ale koniec końców.... coż zrobisz *ma cher*, jak przyjdzie wyruszyć z Krzewiniec.“

— „*Vous ne serez pas embarassé mon cher*.... wyćwiczyłeś się doskonale w muzyce....“

— „Muzyka to niewielka rzecz, ale hafty!....“

— „Ja podobno mam mój posag zaintabulowany przed dłużnikami.“

— „*Ma chere amie* mylisz się podobno.... bo twój posag zaintabulowany był dopiero po śmierci twojego ojca.... a wtenczas już dosyć nalazło dłużników do tabuli....“

— „Srebra wszystkie są moje....“

— „To jest te, które ja zechcę ustąpić...“

— „Mnie nawet nudzą Krzewińce.... ja pojadę do mojej ciotki do Rosyi... *mais vous mon pauvre frère!*“

— „Ja będę wojażował....“

— „Nie zapomnij *mon cher* pozdrowić pana Bilczyńskiego w Paryżu....“

— „Kto wie co się stanie jak wróci z Paryża... *vaincu par vos charmes*....“

Hrabianka wydęła tylko usta i nic nie odpowiedziała; z rodzajem tylko niecierpliwości spojrzała na zegarek. I rzecz dziwna, tąż samą niecierpliwością wiedziony pan Alfred, spojrzał także na godzinę. Nastała zwykła pauza milczenia, w czasie której pan Alfrnd wziął do ręki jakiś francuski żurnal, który codzień przeglądał w tym czasie.

Panna hrabianka zaś wzięła się także do swej zwyczajnej a wielce ulubionej lektury; to jest do kalendarzyka gotajskiego, który umiała prawie na pamięć, ale zawsze z równą przeglądała ciekawością.

Ledwie pierwszy brzask dzienny zawitał, hrabia i hrabianka poszli do łóżek najspokojniej na pozór, ale wewnątrz trucizną przelewała im się żółć zjadliwa.

W dworku księdza już się wszyscy pobudzili.

Przed księdzem i jego wnuczką stoi dwoch wieśniaków i napełniają izbę księżą płaczem i narzekaniem. To młynarz i wójt krzewiniecki zawodzą okropnie i przyszli z skargą a płaczem do swego dobrodzieja. Młynarzowi dano syna Fedka w dyby, a wójtowi córkę Ołenkę do aresztu o głodzie. Przez drzwi wpółotwarte zaglądał do izby wędrowny rymarz z uśmiechem złośliwym, wyszczerzając zyzowate oczy to na młynarza to na wójta, mówił to do jednego to do drugiego:

— „Ot cicho siedźcie, nie wyjcie tak, co to pomoże, jeszcze dostaniecie batogi....“

Stary ksiądz pocieszał i tłumaczył biednym wieśniakom jak mógł najlepiej; nawet Jurko, choć mu w duszy złość kipiała, wtórował przez uszanowanie staremu księdzu.

Marijka milczała; uśmiech tylko triumfalny zabłysł przez chwilę na jej bladej twarzy i zgasł znowu, a ciemny i złowrogi smutek wrócił do niej nazad.

V.

I znowu kilka miesięcy minęło od ostatnich zdarzeń w Krzewińcach; w miejscu smutnej i ponurej jesieni, kwitła i woniała wiosna znowu jak wówczas, gdy po raz pierwszy zjeżdżaliśmy z panem Kazimirzem z owego pagórka, w którego połowie rozchodziły się dwie drogi, jedna do pałacu, druga do księżej chaty.

I znowu musimy się zatrzymać na tej samej drodze, w tem samem prawie miejscu, w którem niegdyś pan Kazimirz póty dumał nad rozstajną drogą, póki nie wydumał dla się owego szpicrutowego pasowania. Na pozór niema nikogo na tej drodze; pusto gdzie okiem zajrzyć, ptaki jeno coraz niżej latają ponad zielonem zbożem zasiane pola, jakby przewidywały burzę. Jakoż w rzeczy samej tam od strony zachodniej ponad słońcem, które coraz większe, coraz czerwieńsze, coraz chłodniejsze zsuwa się powoli ku zachodowi, pokazują się chmurki niewielkie jeszcze co do swej objętości, ale tem groźniejsze swą mieszaniną, mieniącą się i coraz ciemniejącą barwą. I pomału silniejszy coraz pociągał wietrzyk, w którego nierównem, konwulsyjnem prawie tchnieniu, czuć już można tę mokrą woń deszczu, przerywaną gorącemi czasem wyziewami, zwiastunami bliskiej burzy. Czasem nawet z daleka ozwało się przeciągłe ryknienie rozsypanego po polu bydła, które snać instynktem poruszone, tęskne ku oborze wydawało krzyki; toteż pomału podnosili się z rowów naddrożnych, z bujnej trawy na łąkach, z oczeretów na niskich pastwiskach pastuszki i pasterki, i potrzaskując biczykami, biegając za rosypanem bydłem ściągali je pomału za pomocą wiernych kundysów wiejskich, i uprzedzając burzę, pomału ku wsi zaganiali.

Tak wyglądał ten krajobraz w chwili, kiedy potrze-

bą naszego obrazku sprowadzeni stanęliśmy na onej drodze rozstajnej. Tuż przy drodze był szeroki okop, a za nim papuzią zieleniły się barwą w kłos już wystrzelające żyto. I jak mówiłem, zdawałoby się że nikogo niema w tem miejscu, gdyby nie wiatr, który kołysząc to słabiej to mocniej zielonem zbożem, nie odkrywał ciągle ciemniejszego jakiegoś przedmiotu, który nieruchomie sterczał pomiędzy zbożem. Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że to strach na wróble w zbożu postawiony, gdyby nie właśnie ta szczególna i ciągła nieruchomość. Silniejszy podmuch wiatru odkrył całą tajemnicę — wiatrem bowiem porwana wzleciała do góry ciemna czapka, a z pod niej rozwiane rozruszały się włosy. — To był człowiek leżący, który podniósł się za czapką i złapawszy ją w lot, przycupnął znowu, i znowu nieruchomy wyciągał jeno oczy ku wsi, a nos ku zbliżającej się burzy.

Byłto ów żebrak przybyły w jesieni do Krzewiniec, którego przez chwilę widzieliśmy w dworku księżym. Snać oczekuje tu kogoś niecierpliwie, bo oczy jego coraz więcej wytężają się na przód ku drodze wiodącej do wsi — ale żadnym ruchem gwałtowniejszym nie zdradza onej. Maciek przyzwyczajony widać do tej zaczajonej wytrwałości, która wiele przecierpieć, wiele przeczekać i wiele doczekać się jest w stanie. Jedyny znak czucia, jaki dostrzedz można, zdaje on się dawać ruchem swego wyciągniętego nosa, którym z szczególną roskoszą wietrzy zbliżającą się burzę. Burza ta zanim zawrze nad ziemią, zdawała się cała mieścić w jego spojrzeniu zyzookiem, biegającem, rozpalonem, złowrogiem.

Nagle na drodze wiodącej od wsi pokazał się zdala jakby cień jaki, który z początkn mały, coraz się zwiększał i zbliżał. Choć trudno było poznać z tak daleka, Maciek musiał poznać idącego, bo uśmiech szkaradny, dziki, rozciągnął jeszcze więcej jego szerokie usta. I już się chciał podnieść nieco, gdy uwagę jego nowy zajął przedmiot; z przeciwnej bowiem strony, drogą, którą kiedyś nadjeżdżał nasz bohatyr, większy jakiś cień posuwał się naprzód, a szybszym daleko krokiem. Przez chwilę wpatrzywszy się poznał Maciek, że to jakiś na koniu człowiek klusikiem się zbliża. Jakoż w rzeczy samej byłto półwieśniak, półszlachcic, w siwej kapocie i wielkim słomianym kapeluszu na głowie, który pręcikiem poganiał niskiego konika, silnego wiejskiego bronowłokę i nudy podróży przerywał sobie wesołym spiewem.

Maciek rzucił znowu okiem ku wsi i dostrzegł już wyraźnie ztamtąd idącą Marijkę. Tak jest w rzeczy samej byłato Marijka, która znowu ujrzawszy jadącego na koniu, szukała miejsce gdzieby się schować mogła, nie chcąc zapewne by ją kto widział. Droga w tem miejscu stanowiła lekki wąwóz, na którego wierzchu rosły gęste krzaki dzikiej róży. Jednym skokiem schowała się Marijka poza krzaki i tam oczekiwała aż jadący spuści się w dół ku wsi, lub zawróci ku dworowi. Jakoż niedługo usłyszała tentent konia; jezdca zaś, który znikł w wąwozie, widzić nie mogła. Dopiero gdy się z miejsca swego podniosła i rzuciła okiem za jezdcem, zaczęła się w niego wpatrywać z ciekawości. Bo przez chwilą zdało się jej, że cała postawa jadącego jest jej znajoma. Jakieś szczególne przeczuciowe wrażenie przebiegło jej serce przez jedną krótką chwilę; ledwie wrócić nie chciała, by się przekonać, zdawało się jej, że ją coś gwałtem ciągnie ku wsi. Byłato jedna z tych chwil w życiu stanowczych bardzo, w których silniejsze tylko jakieś ale niezrozumiane poruszenie wewnętrzne, objawiać się zdaje ważność onych. W takichto nieraz chwilach rozstrzyga się najważniejsze życia zadanie, bez pewnego o tem przeświadczenia. I wówczas to jakaś jakby władza tajemnicza, którą chętnie nazywamy przeznaczeniem i na którą jeszcze chętniej zrzucamy winę własnego uporu, zdaje się nas popychać naprzód, naprzekor przeczuciu. Taka byłato chwila dla Marijki. Gdyby wróciła do wsi za tym pociągiem wewnętrznym, możeby oszczędziła sobie niejedną łzę poźniejszą, której nic już cofnąć nie zdoła. Marijka westchnęła tylko i poszła naprzód, chociaż nie bez wewnętrznego żalu, który jej się wydawał wyrzutem sumienia.

Lecz cóż jest tak ważnego w tem jej postanowieniu? Wszak ona dziś jak zwyczajnie wyszła na przedwieczorną przechadzkę swoję. A celem tej przechadzki pozornie jest ta figura z ukrzyżowanym zbawicielem, która tuż zaraz za miedzą żytem zieleniejącą, stoi przy drodze na małej mogile zapadłej. Byłato jakaś dawna pamiątka tej wiejskiej osady, rozmaicie tłumaczona przez wieśniaków niepamiętających czasu, w którym stanęła. A dla Marijki byłato także bliższa i serdeczniejsza pamiątka z czasu, który tak niedawuo przeminął, a od którego ona już jest tak daleka, tylą myślami innemi oddzielona, że ledwie pamięta, ileto razy wychodziła do tego krzyża naprzeciw Kazimirza, lub też odprowadzała go wracającego wieczorem do domu po całym dniu przepędzonym w dworku księżym na czułej i lubej pogadance. W tej chwili żywiej niż kiedy stanęły jej na myśli owe godziny wszystkie i dnie całe, które jej tak lubo i swobodnie przeszły w kochanka towarzystwie. Serce jej ścisnęło się niewymownym żalem i tęsknotą za tą przeszłością, aż łzy zwilżyły jej od tak dawna gorączką złzawione oczy. I dla czegożby ta przeszłość miała być niepowrotną? Kazimirz ją kocha, i te westchnienia, które jej piersi wzdymają boleśnie, jakby jej tchu brakowało, czyliż jej samej wyraźnie nie dowodzą, że ona go kocha jeszcze, kocha mocniej niżeli się do tego sama przyznać chce. Czyliż nie w jej jest mocy odrzucić te mary okropne, które sama codzień wywołuje i codzień i co nocy ulega tym prawdzi-

wie piekielnym marom. Czyliż nie może wrócić jeszcze w sam czas z tej drogi, na którę się sama gwałtem popchnęła, goniąc za temi marami własnej namiętności.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

List z Krakowa o teatrze.

Długo, bardzo długo wahałem sią z myślą napisania kilku słów o teatrze krakowskim: nie chciałem był plwać w to gniazdo, które niedawno temu wydało kilka talentów prawdziwie artystycznych. Ależ milczenie dłuższe byłoby grzechem, boby było potakiwaniem głupstwu i płaskości, i teatr nasz upadł tak nisko, że o nim już krytycznie niepodobna pisać, ale tak jak Börne kiedy go dręczyły głupstwa prześladowców, cały słownik wymyślań na raz wyrzucić i pióro roztrzepać.

I co jest najokropniejsze, że z niskąd ratunku nie widać. Antrepryza dzisiejsza ustąpi z miejsca, chętnie swój przywilej złoży w ręce, które ten przywilej dobrze zapłacić zechcą. U niej nie szukać owego rzymskiego poświęcenia, gorliwego dla uratowania miasta rzucić się w przepaść — bankructwa. Wiemy już jakie tajne sprężyny poruszały intrygą zamknięcia opery krakowskiej, jak tam antrepryza i wiceantrepryza były igraszką w zgrabnej ręce, pragnącej w nowem przedsięwzięciu pod skromnym tytułem sekretarza kierować nietylko sceną, ale co ważniejsza, jej budżetem. Broń jednak Boże, abym tu miał występować jako rycerz walczący w obronie dzisiejszego zarządu sceny tutejszej! Jabym mu owszem dziś jeszcze requiem zaspiewał.

Antrepryza zapatrująca się na scenę ze stanowiska czysto handlowego, bez najmniejszego względu na sztukę, która nadto ma pewne słabości do pewnych osób, grymasy, że tak powiem bankierskopańskie, zdolna jest może odpowiedzieć warunkom każdego, byle nie intelektualnego przedsiębiorstwa. Czemuż na nasze nieszczęście nie wydzierżawiono jej innego jakiego monopolu za czasów byłego rządu: toby jej było zarówno, bo do niej da się zastosować co Schiller o umiejętności powiedział:

Einem ist sie die hohe, die himmlische Göttin, dem Andern
Eine tüchtige Kuh, die ihn mit Butter versorgt.

Nie na samej jednakże antrepryzie cięży wina upadku tutejszego teatru. Wszystko się na raz zeszło: okoliczności, personale, itd. Że jednak poznać prawdziwego przyjaciela w nieszczęściu, dowodem tego list z Krakowa w nrze 8. dziennika mód umieszczony, a który mię pobudził do napisania niniejszego artykułu aby też nie myślano, że my dla tego do teatru nie uczęszczamy, iż bilet parterowy kosztuje 2 złp. zamiast co by mógł kosztować 20 kr. Piękna ta reforma taksy, oparta zapewne doświadczeniem na reformie pocztowej angielskiej nie byłaby do odrzucenia, wątpię jednak, by wartość sceny podnieść mogła. Ależ ilużto autor owego listu naliczył talentów! Wszakże tych ulubieńców publiczności jak ich tytuluje, aż jedenaście obojej płci naliczył? Słuchajcie, jedenaście! Jakaż scena europejska tylu ich posiada? Wolno wprawdzie rzeczonemu korespondentowi mieć jedenastu ulubieńców, to jest 7 rodzaju męskiego, a 4 żeńskiego, niechże jednak całej publiczności miarką swojego sądu nie mierzy. Publiczność krakowska ani jednego ulubieńca nie posiada, bo nie znajduje na scenie ani jednej wyższej zdolności artystycznej. Nie przeczę, iż panowie Ładnoski i Gołębiowski mogą z czasem tego tytułu stać się godnymi, ależ pierwszego zasługi datują się od B e r k a z a p i e c z ę t o w a n e g o, pewnego rodzaju karykatury satyrycznej, a obaj wraz z panną Radzyńską ledwie w niższej komedii wystąpić zdołają. Pan Thomain jest dramatyczniejszy w prywatnem pożyciu aniżeli na scenie, posiada on zdolności, ale nigdy nie będzie aktorem. Pan Białczyński, ów sztywny kochanek, musi się dużo nauczyć, aby zdołał kiedy naśladować uczucie, jeżeli się tego kiedy nauczyć można. A cóż o reszcie powiedzieć: ***Verba, verba, praetereaqae nihil.*** Szkoda czasu i atłasu.

Bolesno zaprawdę patrzeć i słuchać, co tu z biedną komedią robią! jak tam każdy aktor dziwacznością ubioru, połamaniem ciała, zepsuciem naturalnego organu mowy, pragnie przesadzić najwyszukańsze karykatury, jakie w Punch albo Charivari napotkać można. Prawda, że znaczna część publiczności daje za to oklaski, a nawet woła nieraz o powtórzenie jakiej żydowskiej piosenki albo zgrabnego skoku, ale bo wtenczas publiczność uważa scenę jako szopkę, a artystę jak poliszynella. Przecież ta błazeństwom poklaskująca większość z uszanowaniem i powagą słuchała dramatycznych artystycznie przedstawianych obrazów i bez wchodzenia w łatwo dowodzące tego przyczyny przypomnę, że nie usłyszałeś na dobrej dobrze odegranej sztuce tego śmiechu i hałaśliwych wybryków rubaszności nawet na galerii, tych najpłaściejszemu dowcipowi towarzyszących aplauzów, jakie dzisiaj cię i na parterze rażą. Loże i krzesła milczą wprawdzie, albo ich smak wytworniejszy albo dobrze udana powaga. Dawniej żeby nie stracić jednego wyrazu z ust artysty, upatrywano pauzy dla oklasków; a wywołanie, co niegdyś było uczczeniem talentu i jego tryumfem, stało się dziś nieodzownym epilogiem każdej sztuki. I nie dosyć na jednym albo na dwoch aktorach, ale wymieniają ich po kolei jakby z afisza, w końcu na okrzyk: Wszyscy!, całe personale sztuki z chórami i figurantami wystąpić koniecznie musi. Słusznie wyrzekł X. Ł.

w odpowiedzi swojej na charaktery rozumów ludzkich, że jak publiczność tworzy artystów dramatycznych, tak ci nawzajem kształcą publiczność. Trudno bo i artystom zadosyć uczynić wymagalnościom antreprzy, reżysera czy też repertoarza; bo luboś szanowny redaktorze dowiedział się o zamknięciu opery krakowskiej, a nigdyś o balecie nie słyszał; toć trzeba ci wiedzieć, że każdy z naszych artystów musi grać trajedię, komedię, operę i balet, i to naraz w jednej sztuce. Chciałbyś zapewne słyszeć i widzieć, jak niegdyś zdatny aktor, a dziś weteran sceny polskiej, musi trywialne piosnki spiewać, siwowłosy wyskakiwać nieśmiało po deskach, po których przed czterdziestą laty w klasycznych utworach poważnie stępował. My tu mamy nawet autorów dramatycznych, zkąd innąd zacnie znanych, którzy umieją przerabiać muzykę Aubera na prozę i z oper robią melodramy. Dziś ma być jakaś sztuka z piramidami żywych dzieci. Pamiętam ja owe błogie a niewinne czasy sztuki, kiedy na scenie naszej w pierwszych rolach występowały małpy *in natura*. I zaprawdę lepiej taka prawdziwa małpa po małpiemu grała, niżeli najlepiej przebrany aktor. Ale minęły owe szczęśliwe dla antreprzy czasy. Dziś wołamy na scenie jak i w życiu prawdy, prawdy i prawdy! Już nas ani wilk w baraniej, ani człowiek w oślej skórze nie omami. I żywe małpy i całe szwadrony koni z białym napoleońskim na czele, już się nam dawno przejadły. Nadszedł czas, gdzie się koniecznie uczyć trzeba nietylko roli przepisanej na wieczor jutrzejszy, ale trzeba się uczyć, żeby tę rolę zrozumieć. Nawet reżyser i antreprener nie mogą pozostać w swoich dawnych warunkach technicznych i rachunkowych, ale muszą mieć uczucie kunsztu, krytyczny pogląd na świat lub scenę, co na jedno wychodzi, i nie zostawać za publicznością a nawet za aktorami o lat 50 w tyle. Dziś teatr tutejszy tem się tylko różni od trzykrólnej szopki, iż tę chłopięta na ramionach noszą, a tamten jeszcze jako tako utrzymuje się na swoich fundamentach i na zgubnym dla powszechnej oświaty monopolu. Nie żądam ja aby budka suflerska stała się kaznodziejską amboną, ale biada jej, kiedy się zamieni w spiczastą czapkę błazna, kłaniającego publiczności za każdą wrzuconą dwuzłotówkę! Bo i owe niegdyś do publiczności przymówki i dziękowania lokajskie wiązaną i niewiązaną mową na nowo się wróciły; z upadkiem bowiem sztuki upada i uczucie godności artysty. I żadenby też z tych uniżonych a o oklaski lękliwych synów Talii nie odważył się odezwać słowami Ryszarda III. jak się odezwał Kean do hałasującej galerii: „Uciszcie się psy wściekłe!“

TEATR.

Dnia 3. Marca przedstawiono na scenie lwowskiej trajedią „Żołkiewski pod Cecorą.“ Jestto utwor Felixa Humnickiego przedstawiony po raz pierwszy w r. 1821 na scenie warszawskiej. Należy on do owej epoki przechodowej, kiedy środ klasyków samych zaczął się wyrabiać duch nowszy. Osobliwie młodzi z nowszemi pojęciami, zaczęli się z pod jarzma starszych klasyków wyłamywać. Daremny był krzyk klasyków z towarzystwa uczonych, daremnie mierzono wiersze i ucinać kazano by wiersz był harmonijny. Młodzi pisarze zachowywali w prawdzie wszystkie powierzchowne formy ale duch był już inny. Korzeniowski napisał w tej epoce pierwszą swą trajedią „Dwaj Pelopidowie,“ która tak jak i trajedia Humnickiego nie znalazła takiego przyjęcia, jak Felińskiego Kropińskiego lub Wężykowskie sztuki. Dziś dopiero widzimy o ile wyżej stoi „Żołkiewski pod Cecorą“ nad „Barbarą Radziwiłówną.“ W Żołkiewskim chodzi już autorowi o rozwinięcie czynu dramatycznego, a wypływającą ztąd dramatycznością, dość silną w niektórych aktach, zajmuje ta sztuka mocniej widzów niż piękną dykcyą Barbara. W prawdzie ostra krytyka wynalazłaby wad wiele, ależ i zalet trudno jej odmówić.—

Od dawna żadna sztuka nie była tak stosownie obsadzona i odegrana dobrze, jak Żołkiewski pod Cecorą. Osobliwie odznaczyli się pani Aszpergerowa i pan Smochowski. Rownież pan Bensa tak w tej sztuce jak i Barbarze grał z wszelką pilnością i usilnością.—

Nowość!

Doszedł nas prospekt w języku francuskim następującej treści: „W żadnym kraju rodziny znakomite nie wywierały tak wielkiego wpływu nu losy swej ojczyzny jak w Polsce. Równie złe jak i dobre wszystko zdziałane zostało pod przewodnictwem wielkich panów; reszta zaś szlachty była jedynie ich milicyą, często niesforną, zawsze zazdrośną lecz nigdy im równą, pomimo że było przysłowie: „Szlachcic na zana zagrodzie, równy wojewodzie. Ponieważ ta wyższość była faktem socyalnym, więc łatwo pojąć, że nie była uzurpacyą. Dzisiaj kiedy tytuł księcia, grafa i barona, zachowany lub nadany rodzinom znakomitszym jest jedynie wynagrodzeniem i przypomnieniem znaczenia dawniejszego, utytułowani są narażeni i na oczerniania tych tytułów przez ludzi chcących wszystko zrównać, i na nabywanie tychże tytułów przez pragnących zatrzeć wszelką pamięć swej zawisłości historycznej. Chcąc zatem koniec położyć temu stanowi rzeczy, i wykazać, które rodziny polskie są prawnie utytułowane, postanowiliśmy wydawać coroku zcząwszy od r. 1849 rocznik genealogiczny rodzin polskich utytułowanych, zwracając uwagę na wyniesienia do stanu wyższego, małżeństwa, śmierć, narodzenia przypadłe, o których nas raczą zawiadomić. — Spodziewamy się, że to dzieło sumiennie wykonane będzie nie tylko zajmujące dla naszych rodaków ale oraz pożyteczne dla cudzoziemców, tak często zwodzonych mile brzmiącym tytułem niby hrabiów polskich. *Sapienti sat!* (Madrej głowie, dość dwie słowie). Rok pierwszy wyjdzie w r. 1848 pod tytułem *Almanach genealogiczny rodzin polskich utytułowanych* podzielony na trzy oddziały, książąt, hrabiów i baronów; każdy oddział będzie ułożony w porządku abecadłowym. Format i t. d. będzie podobny do almanachu gotajskiego. Każdy rok będzie ozdobiony dwoma rycinami, jedna będzie przedstawiać wizerunek jednego z utytułowanych świeżo zmarłych, druga rezydencyą którego z utytułowanych i t. d. Podpisano *Eugène de Breza* w Gnieźnie dnia 29. listopada r. 1847.

Wydawca TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.